

BOGDAN NIEDZIEWICZ

HISTORIE RODZINNE

WROCLAW 2011

Rodzice urodzili się we Lwowie. Ojciec Teofil (1908 – 1971) na Łyczakowie, gdzie spędził dzieciństwo i młodość. W księgach parafii Św. Antoniego jest zapis świadczący o tym, że mój prapradziadek Stanisław Niedzewicz chrzcząc w roku 1832 syna Jana, mieszkał za rogatkami Lwowa, w należącej do tej parafii miejscowości Krzywczyce. Gdzieś od lat 60-tych XIX w. Niedzewiczowie mieszkali na ul. Łyczakowskiej pod nr 134. Ojciec urodził się w wielodzietnej rodzinie jako ósme dziecko i młodszy od niego był tylko brat Edward. Rozpiętość wieku była znaczna. Pierwsze dziecko – Piotr urodził się w roku 1885 ale zmarł w wieku 7 lat. Potem od roku 1890 urodziło się sześć dziewczynek, a najmłodszy Edward w 1911 r. Była to spora gromadka i w rodzinie żartowano, że ich ojciec Tomasz po powrocie z gospody miał nieraz trudności w kojarzeniu imion z twarzami poszczególnych dzieci. Po skończonej podstawówce rodzice oddali Teofila na naukę zawodu do warsztatu kamieniarskiego. Pomimo nie najlepszych warunków fizycznych, osiągnął w tym ciężkim zawodzie spore sukcesy. Czasy młodości spędził na górnym Łyczakowie, a atmosferę tamtych lat chociaż częściowo oddają zachowane zdjęcia.

Moja mama Kazimiera z d. Jurczyszyn (1913 – 1993) urodziła się w Sygniówce Małej, miejscowości leżącej przy granicy Lwowa i należącej do lwowskiej parafii Św. Marii Magdaleny. Miejscowość ta po I Wojnie Światowej została przyłączona do Lwowa. Rodzina mieszkała na terenie cegielni gdzie okresowo pracował mój dziadek. Mama od dziecka była bardzo zdolna i miała świetną pamięć. W wieku 6 lat biegle czytała i pisała. We wrześniu 1920 r. poszła do pierwszej klasy szkoły podstawowej, a 15 października tego roku przeniesiono ją od razu do klasy trzeciej. Po szkole podstawowej bardzo chciała kontynuować naukę, niestety warunki materialne rodziny na to nie pozwoliły. W tej rodzinie było łącznie czworo dzieci i rozpiętość wieku też była duża. Starsza siostra mamy urodziła się 1901 r., a najmłodszy brat w roku 1923. Starsza siostra wkrótce wyszła za mąż, matka

musiała zarabiać na utrzymanie całej rodziny, więc na moją mamę, wtedy jeszcze nieletnią, spadł obowiązek opieki nad najmłodszym bratem.

Rodzice poznali się pod koniec lat dwudziestych. Ojciec pracował w zakładzie kamieniarskim, a mama dorabiała jako szatniarka w konserwatorium. Zaczęli planować ślub, który niestety odsuwał się on w czasie. Po świecie rozprzestrzenił się kryzys, który dotarł też do Lwowa. Było coraz mniej pracy, a w końcu ojciec uległ wypadkowi i całkowicie ją stracił. Teraz żył tylko z pracy dorywczej, a z niewielkich i niepewnych zarobków opłacał jeszcze u byłego pracodawcy, składki na Kasę Chorych. Mieszkali obydwójce przy swoich rodzinach, tam się żywili i tylko w ten sposób mogli jako tako wegetować. Ta trudna sytuacja rozwiązała się dzięki przypadkowi. Był rok 1935 i ojciec na jakiejś rodzinnej uroczystości poznał dalekiego krewnego ze strony matki. Okazało się, że jest on prezesem Sądu Grodzkiego w Delatynie. Młody i energiczny człowiek spodobał mu się tak dalece, że dostał propozycję stałej pracy. Otóż w roku 1939 miał odejść na emeryturę człowiek piastujący stanowisko woźnego sądowego (była to osoba ogólnie mówiąc odpowiedzialna za wokandę tj. planowanie rozpraw, terminy, obsługę sędziów itp.). Ojciec miał być początkowo zatrudniony na etacie strażnika więziennego, a później w ramach pogłębiania praktyki, miał zapoznawać się ze specyfiką innych działów sądu tak, by w momencie zatrudnienia na docelowym stanowisku, być obeznanym z pracą tej instytucji. W sytuacji rodziców była to rewelacyjna propozycja. Ojciec dostał znaczną pożyczkę, którą miał oddać z późniejszych poborów. Teraz rodzice mogli się w końcu pobrać. Ślub wzięli w nowo wybudowanym kościele pw. Matki Boskiej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie. Nawiasem mówiąc, obraz Matki Boskiej z tego kościoła został w latach 40 wywieziony potajemnie ze Lwowa i obecnie znajduje się w kościele pw. Najświętszego Serca Jezusowego przy pl. Grunwaldzkim we Wrocławiu. Sam kościół po wojnie został zlikwidowany i utworzono w nim podobno muzeum ateizmu lub jakąś tego typu placówkę. Teraz rodzice mogli wyprowadzić się do Delatyna. Ich sytuacja zmieniła się diametralnie. Była dobrze płatna praca z perspektywami awansu, dająca również przywileje emerytalne, dostępne wówczas wyłącznie tzw. pracownikom budżetówki i kolejarzom.

Delatyn był wtedy małym, sennym miasteczkiem u podnóża Karpat, zamieszkałym głównie przez ludność pochodzenia huculskiego, ukraińskiego i żydowskiego. Rodzice wynajęli mały, samodzielny domek, a ojciec na początku 1936 r. był już strażnikiem w tut. areszcie sądowym. Życie tutaj, w porównaniu ze Lwowem, było śmiesznie tanie. Wynajem domku i żywność pochłaniały niewielką część poborów ojca. Mama długo po wojnie dziwiła się, że miejscowym Hucułom opłaciło się schodzić z gór, aby na targu sprzedawać jajka po 1

groszu za sztukę. Powstały skromne nadwyżki, które rodzice lokowali w biżuterii i sprzęcie. Ojciec kupił chyba jeden z pierwszych w miasteczku radioodbiorników. Radio miało głośnik, w przeciwieństwie do dość popularnych już wtedy odbiorników kryształkowych ze słuchawkami. Radio na prośbę sąsiadów ustawiał ojciec w niedzielę na parapecie otwartego okna. W ogródku, w niedzielne przedpołudnia zbierali się sąsiedzi, aby słuchać bardzo popularnej wówczas Wesołej Lwowskiej Fali ze słynnymi Tońkiem i Szczepciem. Pobyt w Delatynie był pięknym okresem w życiu rodziców. Piękna, wypoczynkowa miejscowość nad Prutem, u podnóża gór, otoczona lasami zachęcała do wycieczek. Zjeżdżała się licznie rodzina, którą rodzice mieli gdzie gościć. Mama zaszła w ciążę i na wiosnę 1937 r. pojechała do Lwowa. Rodzice chcieli, aby dziecko o imieniu Jerzy, w metryce miało jako miejsce urodzenia, Lwów. Ojciec w pracy był bardzo ceniony. W 1939 r. praktykował u komornika sądowego, a następnym etapem miało być już objęcie stanowiska docelowego. Coraz powszechniej mówiło się w tym czasie o nieuchronnym konflikcie z Niemcami. Rodzice byli nastawieni bardzo patriotycznie. W sierpniu 1939 r. ojciec postanowił, a mama się temu nie sprzeciwiała, że ochotniczo zgłosi się do armii. Przy pierwszym podejściu ojca odesłano z kwitkiem. Przed wojną stawał przed komisją poborową we Lwowie, która orzekła jego niezdolność do służby wojskowej. Wtedy nie był to powód do chwały i obydwój rodzice nikomu o tym nie mówili. Teraz ojciec pojechał do Kołomyi, gdzie przed komisją poborową złożył oświadczenie o zagubieniu książeczki wojskowej i tym sposobem został wcielony do 2 baonu Obrony Narodowej, gdzie rozpoczął szkolenie przerwane przez wybuch wojny. Po 1. września były już tylko ciągłe marsze i przebijanie się przez okrażenie w kierunku granicy węgierskiej. 19. września 1939 r. jego oddział przekroczył granicę węgierską, został rozbrojony i skierowany do obozu dla internowanych w m. Nagykanizsa. Obozów takich było na terenie Węgier kilkadziesiąt. 7. października odbył się uroczysty apel, żołnierze zrobili sobie ostatnie zdjęcie w polskich mundurach i rozpoczęli obozowe życie. Akurat w tym obozie panowały bardzo dobre warunki. Bardzo pręźnie działało polskie dowództwo obozu, a dowódca węgierski do niczego specjalnie się nie wtrącał. Zaczęto organizować przerzuty żołnierzy do tworzącej się we Francji armii. Ojciec bardzo chciał wyjechać, ale niestety dostał odmowę. W pierwszej kolejności wyprowadzano z Węgier oficerów czynnej służby, specjalistów wojskowych itp. Ojciec włączył się czynnie w te akcje. Został kurierem pomiędzy Nagykanizsa, a Budapesztem. W stolicy Węgier pomimo wojny i związków tego kraju z Niemcami, działał ciągle konsulat RP. Ojciec dowoził tam dokumenty oczekujących na wyjazd żołnierzy, czekał nieraz w Budapeszcie po kilka dni na opracowaną dokumentację, którą przewoził z powrotem do polskiego dowództwa obozu. Bardzo miło wspominał pobyt

na Węgrzech. W obozie panowały półwolnościowe warunki. Miejscowa ludność była bardzo życzliwie nastawiona do Polaków. Ci zawierali liczne znajomości z tubylcami, byli goszczeni w ich domach, korzystali z pomocy materialnej. Jednocześnie ojciec tęsknił za rodziną i niepokoił się o jej los. W kraju zmienił się okupant, miejsce Rosjan zajęli Niemcy i ze Lwowa dochodziły niepokojące wieści. O powrocie ojciec zdecydował na przedwiośniu 1942 r. Po ponad dwóch latach niewoli, uzyskał aprobatę dowództwa obozu, spakował na saneczki zapas żywności, swój skromny dobytek i powędrował pieszo do Lwowa. Planował, że we Lwowie znajdzie się na imieniny (i jednocześnie urodziny) żony tj. 4. marca. Droga przez zasypane śniegiem Karpaty okazała się trudniejsza niż przewidywał i zajęła mu ponad 2 tygodnie. Zaraz po powrocie, na pamiątkę tego wydarzenia wygrawerował na rewersie medalika datę powrotu tj. 9.04.1942.

Tymczasem w sierpniu 1939 r. mama została sama z dwuletnim dzieckiem. Wkrótce wybuchła wojna. Z miasteczka ewakuowali się urzędnicy polscy wraz z rodzinami. Ze znajomych została jedynie, mieszkająca po sąsiedzku przyjaciółka, której mąż też został zmobilizowany do armii. Przez pierwszych kilka dni września w miasteczku nie było widać wojny. Później matka przeżyła szok. Przez Delatyn zaczęły ciągnąć grupy i grupki polskich żołnierzy, często brudnych i głodnych. Odpoczywali na skwerach, niektórzy próbowali kupić coś do jedzenia. Obydwie kobiety zaczęły działać. Kupiły pieczywo, herbatę, cukier i papierosy. Ustawiły kocioł z herbatą na głównej ulicy i każdemu chętnemu wręczały bułki i 10 papierosów. Po jakimś czasie zapasy skończyły się, w okolicznych sklepikach nie można już było nic kupić i kobiety wydawały już tylko niesłodzoną kawę i po 2 papierosy. Przez miasteczko przechodził jakiś większy, dobrze zorganizowany oddział. Jego dowódca zainteresował się poczynaniami kobiet. Te opowiedziały mu, że pomoc organizują za własne pieniądze i wprawdzie jeszcze je mają, ale miejscowi sklepikarze zaczęli odmawiać sprzedaży twierdząc, że mają puste magazyny. Energiczny porucznik wypytał kobiety o adresy sklepikarzy i miejsc gdzie magazynują oni towary, wziął ze sobą kilku żołnierzy i wkrótce wrócili niosąc zarekwirowane na potrzeby armii, zapasy herbaty, cukru i papierosów. Po jakimś czasie z uruchomionej na jego polecenie piekarni dotarło świeże pieczywo. Oddział na drugi dzień opuścił Delatyn, a kobiety dalej prowadziły swoją akcję.

17. września ZSRR ogłosił aneksję zachodniej Ukrainy. Przez kilka dni w miasteczku nic się nie działo. Później przyjechała grupka żołnierzy sowieckich i w ratuszu pojawił się nowy burmistrz. Był to znany mamie z widzenia miejscowy działacz ukraiński. Dzień później, po zmroku ktoś zapukał do domku w którym matka mieszkała. Pukający, przestraszonej kobiecie przedstawił się nazwiskiem tego właśnie burmistrza. Nalegał na otwarcie drzwi i prosił, żeby

nie zapalać światła. Matka nie znała go wprawdzie osobiście ale kilkakrotnie widziała jak jej mąż gawędził z tym człowiekiem na ulicy. Gdy został w końcu wpuszczony usiadł przy stole i oświadczył, że mamie grozi niebezpieczeństwo i musi jeszcze dziś w nocy wyjechać z Delatyna. Matka była zszokowana, nie wiedziała co to wszystko może znaczyć. Zaczęła podejrzewać, że jest to podstęp mający pozbawić ją całego dobytku. Wreszcie oświadczyła, że nie będzie dalej rozmawiać, dopóki mężczyzna nie powie jakie grozi jej niebezpieczeństwo.

- Dobrze, powiem. Jest pani wraz z przyjaciółką na liście osób przeznaczonych do aresztowania za udzielanie pomocy żołnierzom. – Przecież to byli polscy żołnierze. Nie zrobiłam niczego złego. – Tak – powiedział rozmówca – ale tu już jest ZSRR, a po za tym niektórzy zapamiętali, że na wasze polecenie wojsko rozbiło magazyny i zarekwirowało zapasy mąki, cukru i papierosów.

Mama nie była jeszcze do końca przekonana i zażądała wyjaśnienia dlaczego mężczyzna przyszedł ją uprzedzić. Ten chwilę się zastanawiał. – Proszę pani, trzy lata temu mój brat za jakąś bójkę siedział w tutejszym więzieniu. Pani mąż nie tylko mu pomagał, dostarczał papierosy, listy, dodatkowe porcje jedzenia - on to wszystko robił całkowicie bezinteresownie. Mam wobec was dług wdzięczności, który teraz chcę spłacić. Jeżeli pani natychmiast nie wyjedzie, to przyjdą o świcie żołnierze, zaarrestują panią, a dziecko w najlepszym razie zostanie tu bez opieki. Musi pani natychmiast opuścić miasteczko i proszę ominąć stację kolejową, bo tam już jest posterunek wojskowy, który zatrzymuje wszystkich Polaków.

Dwie godziny później matka trzymając w jednej ręce walizeczkę z ubraniami dla dziecka, a na drugiej dwuletniego Jerzyka, wraz z przyjaciółką szła po torach do oddalonej o kilkanaście km stacji w Nadwórnej. Po dwóch dniach była już bezpieczna u rodziny we Lwowie. W Delatynie został cały dobytek. Teraz dalszą egzystencję mogła zawdzięczać tylko rodzinie, u której zamieszkała i która pomogła jej zgromadzić potrzebne do życia ubrania i podstawowe sprzęty. Wszędzie panoszyli się Rosjanie, którzy wprowadzili obowiązek pracy. Matka zaczęła pracować jako sprzątaczką w konserwatorium muzycznym. Rosjanie ustanowili komendanta tej instytucji kulturalnej i został nim jakiś oficer. Po kilku dniach wezwał mamę do siebie. Pokazał jej teczkę personalną i zapytał czy to prawda, że ma zgodnie z tym co napisała w podaniu, pochodzenie robotnicze. Kiedy przestraszona kobieta potwierdziła, kazał jej pokazać ręce. Mama pokazała wypielęgnowane dłonie, a on zatriumfował. – Czy tak wyglądają ręce robotnicy? Sytuacja zaczęła wyglądać bardzo groźnie. Na szczęście po długiej pauzie pan komendant oznajmił - od jutra towarzyszek przenoszę z pracy fizycznej na

stanowisko umysłowe. Okazało się, że praca umysłowa polegała na obsłudze portierni, a w szczególności na wydawaniu kluczy od pomieszczeń gdzie ćwiczyli studenci, dopilnowaniu sprzątających etc. Przez długie lata zdarzenie to było przedmiotem żartów w rodzinie. Za okupacji rosyjskiej (we Lwowie mówiło się „za pierwszych Rosjan”) żyło się bardzo ciężko. Terror stosowany przez Rosjan, liczne aresztowania i wywózki na Sybir, ciągłe braki żywnościowe, były dla samotnej matki z dzieckiem trudne do zniesienia. Wkrótce sytuacja się zmieniła, ale tylko na gorszą. 21. czerwca 1941 r. Hitler zaatakował ZSRR. Lwowiacy z radością oglądali ewakuację rosyjskich urzędów i samych Rosjan. Niemcy wkrótce wkroczyli do Lwowa i okazało się, że poprzedni okupant uciekając wymordował około 6 tys. więzionych przez siebie mieszkańców Lwowa. Nowy okupant poczynał równie krwawo. Wkrótce zaczęły się aresztowania (między innymi morderstwo lwowskich profesorów), łapanki na ulicach, wywózki na przymusowe roboty do Niemiec, a później do obozów koncentracyjnych. Wprowadzono również obowiązek pracy. Serdeczna przyjaciółka mamy zatrudniła się w szwalni szyjącej bieliznę pościelową na potrzeby frontowych szpitali. Bardzo namawiała mamę na podjęcie tej pracy ale bezskutecznie. Mama uważała, że nie zhańbi się pracą u Niemców. Jakiś czas później mama jak zwykle zostawiła 5 letniego synka w domu i poszła po coś do sklepiku. Wyszła za róg budynku i wpadła w łapankę. Uzbrojeni Niemcy ładowali złapanych na ulicy i wywleczonych z domów lwowiaków do ciężarówek i zwozili wszystkich do holu lwowskiego dworca kolejowego. Wkrótce na posadzce siedział pod strażą tłum nieszczęśników. Przechodzący polscy kolejarze szeptali o podstawianiu wagonów towarowych, nie wiedzieli jednakże nic o celu transportu. Sytuacja była beznadziejna. W domu zamknięte małe dziecko, a matka oczekuje na wywózkę. Rozpacz była tak duża, że mama, jak sama opowiadała, nie płakała tylko ryczała na cały głos. Przez hol przechodzili niemieccy żołnierze i jakiś oficer. Po chwili jeden z żołnierzy wrócił do holu, złapał matkę za rękę i wyprowadził z hali dworcowej. Doprowadził mamę do komendanta dworca, którym okazał się widziany przed chwilą oficer. Przekonanie o tym, że za chwilę zginie lub zostanie pobita, było tak duże, że w mamie obudziła się niespotykana determinacja. Oficer próbował nawiązać rozmowę. Wywiązał taki mniej więcej dialog.

- Niech się pani uspokoi.

- A czy pan by nie płakał, gdyby pańskie pięcioletnie dziecko, zamknięte w mieszkaniu, czekało na śmierć głodową?

- Dobrze pani wie, że jest wojna.

- Ale ja jej nie wywołałam, nie jestem żołnierzem tylko kobietą i to wy jesteście w Polskim Lwowie, a nie ja w waszym Berlinie.

Oficer coś tłumaczył. On też jest przymusowo na wojnie. Jest oficerem rezerwy, nie jest Niemcem tylko Austriakiem, na końcu wyjął spod kurtki krzyżyk na łańcuszku mówiąc, że też jest katolikiem. Usłyszał równie jak poprzednio bezkompromisową odpowiedź i w końcu kazał mamie wyjść z pomieszczenia i poczekać na korytarzu. Po chwili podszedł do niej uzbrojony żołnierz i kazał iść za sobą. Wyszli na perony, a później torami poza dworzec. Mimo przekonania, że idzie na rozstrzelanie mama kompletnie się uspokoiła i przestała płakać. Tymczasem została wyprowadzona poza linię posterunków i wypuszczona wolno. Później nie mogła się sama sobie nadziwić, że ona osoba wrażliwa i nieśmiała, zamiast prosić i błagać o wypuszczenie, była harda i niemila dla człowieka, który z jej życiem mógł zrobić dosłownie wszystko. Mama zawsze powtarzała, że swoje uratowanie zawdzięcza temu, że w tym człowieku obudziło się sumienie. Ojciec natomiast twierdził, że ten człowiek był po prostu bardzo pragmatyczny. Miał na swoim terenie kilkaset osób z zadaniem załadowania ich do pociągu i nie chciał przy tym żadnych kłopotów. Histeryczny, niepohamowany płacz mógł się udzielać i doprowadzić stłoczonych i zdesperowanych ludzi do nieprzewidzianych zachowań. To wydarzenie skutkowało podjęciem przez mamę oferowanej jej uprzednio pracy. Odtąd szła szpitalną bieliznę, a dyskomfort pracy dla okupanta łagodziła, wynosząc ze szwalni materiał, nici, guziki itp. Otrzymany ausweis skutecznie chronił jego właścicielkę od przypadkowych łapanek.

Ojciec powrócił do okupowanego Lwowa, jak do obcego miasta. Wielu kolegów i znajomych zniknęło z miasta. Jedni wywiezieni na Sybir (jak się później mówiło „za pierwszej sowieckiej okupacji”), inni zniknęli w hitlerowskich więzieniach. Nie było pracy, żywności i pieniędzy. Należało się też zabezpieczyć przed przypadkowym aresztowaniem, ale to okazało się bardzo proste. Jeden z kumpli namówił ojca, a później zarekomendował do pracy w tzw. instytucie Weigla. Profesor Rudolf Weigel, przedwojenny wynalazca skutecznej szczepionki przeciwko durowi plamiastemu, był dla Niemców osobą nader cenną. Dzięki tym szczepionkom zabezpieczał niemiecką armię na wschodzie Europy. Jednocześnie duże ilości szczepionki wypływały z instytutu poza ewidencją i zasilaty polską konspirację. Mówiąc w skrócie, do produkcji szczepionki potrzebne były duże ilości wszy, które po wyhodowaniu do odpowiedniej wielkości zarażano durem i po odpowiednim spreparowaniu otrzymywano produkt finalny. Wszom najbardziej smakowała ludzka krew, stąd Instytut zatrudniał liczną rzeszę hodowców. W zamian za pracę w tym charakterze, otrzymywało się niewielkie pieniądze, porcje żywnościowe czy też bony i co najważniejsze, charakterystyczny, żółty ausweis z napisem „Institut für Fleckfieber und Virusforschung” świetnie chroniący przed zatrzymaniem, a nawet kontaktem z Niemcami, którzy panicznie

bali się duru. Pisarz i dyplomata Mirosław Żuławski, w swoich wspomnieniach ze Lwowa (Twój Styl nr 22/1993 „Weiglówka”) tak opisuje swoją pracę w Instytucie:

„Karmiciel karmił osiem tysięcy wszy między siódmą, a ósmą rano. Dlatego ta „praca" była tak cenna dla akowskiej konspiracji: pozostawiała potem cały dzień wolny. Na szczycie piramidy stał sam profesor - wielki kapłan tyfusowej magii. Odbywało się to tak: hodowczynie - bo zajmowały się tym głównie dziewczęta - podawały nam drewniane klateczki, których jeden bok zrobiony był z jedwabnej siateczki. Tą stroną gumowymi paskami przymocowywało się klateczki do łydek. Na każdej łydce mieściły się dwa rzędy klatek. Dziewczęta przywiązywały je do ud, żeby nie było widać pąsowych blizn po ukąszeniach. Jeszcze w rok po zakończeniu wojny na pytanie „co robiłeś?", podnosiło się nogawkę i pokazywało czerwone pasy na łydkach. Wieczorami swędziało nie do zniesienia, zwłaszcza kiedy miało się na deszcz, ale nie wolno było się drapać, bo można było spowodować lokalne zakażenie, a wtedy wszy „pedikulowały", to znaczy chorowały i karmiciela wylewano z posady. Każdy miał swoje klateczki, a w nich swoje wszy, od wyhodowania z jajeczek aż do oddania preparatorom. Każdy też nauczył się dbać o nie i cenić. Do dobrych obyczajów należało noszenie przy sobie szczelnego pudełeczka po zapalkach, bo kiedy na przykład w tramwaju ludzie zaczynali się odsuwać, zdejmowało się spokojnie wędrującą po kołnierzu albo rękawie wieszak i wkładało do pudełka. Skoro się je karmiło własną krwią serdeczną, stawały się zbyt cenne, by ich nie odnosić nazajutrz hodowczyniom. (...)Byliśmy jedną, wielką rodziną. Mimo że płacono nam grosze, a dodatkowe przydziały kawałka kiełbasy nie równoważyły cotygodniowego ubytku krwi, uważaliśmy się za jakąś arystokrację w stosunku do tych, co dorabiali się na pośrednictwie i handlu. Być od Weigla, to był tytuł szlachectwa. Prawie całe kierownictwo konspiracji tam było. Sam delegat rządu na obszar południowo-wschodni karmił co rano wraz ze mną. Jego najbliższa współpracownica Wanda (jej matka była z Daszyńskich i żyje jeszcze choć już stuletnia), brała często za mnie karmienie wszy, kiedy nie mogłem przyjść, bo była zdrową, ładną dziewczyną i nie bała się panięskich anemii. Jestem przekonany, że sam profesor był lojalnie informowany przez kierownictwo podziemia, iż przyjmuje i hołubi kwiat walki cywilnej i wojskowej, mimo że u wejścia legitymowało gestapo a instytutem zarządzał wermacht. Profesor nigdy nie tracił zimnej krwi, widywaliśmy go często, jak dla odprężenia strzelał w poklasztornym ogrodzie z łuku, bo z zamiłowania był łucznikiem. Niemcy wiedzieli, że bez niego cały ten instytut nie wart byłby funta kłaków, myśmy też o tym wiedzieli i nasze uwielbienie dla profesora nie miało granic. Nie wiem, jak oni to robili, ale mimo ścisłej kontroli niemieckiej zawsze pewna ilość szczepionek - i to tych najlepszych -

docierała do polskich ośrodków opiekuńczych, a nawet do >leśnych<". Tyle Mirosław Żuławski.

Niestety, po kilku miesiącach ojciec rozchorował się i musiał opuścić Instytut. Teraz zajął się tym co „wszyscy”, czyli drobnym handlem. Rodzice opowiadali mi różne wydarzenia, które niestety utkwily mi w pamięci ale bez szczegółów. Mama np. bardzo chciała dostać się do konspiracji. Nawiązała kontakt, dostawała drobne zadania ale jeszcze przed zaprzysiężeniem, jej można powiedzieć opiekun, znikł i kontakt się urwał. Dopiero po wojnie wyjaśniło się, że został on z jakichś powodów organizacyjnych wycofany poza Lwów. We Lwowie Niemcy utworzyli getto. Znaleźli się tam przyjaciele rodziców. Początkowo można było różnymi sposobami dostarczać tam przesyłki, ale kiedy hitlerowcy wybudowali mur i odcięli getto, kontakt z tymi ludźmi stał się bardzo trudny. Do miasta docierały wiadomości o potwornej sytuacji mieszkańców getta, chorobach i ludziach umierających z głodu. Rodzice brali udział w akcjach pomocy . Wraz ze znajomymi przechodzili pod murem i przerzucali górą paczuszki z jedzeniem, papierosami, prostymi lekami. Działania te musiały być skoordynowane, gdyż najpierw trzeba było odwrócić uwagę lub przekupić służby pilnujące odciętego terenu. Lwowskie getto zostało zlikwidowane w połowie 1943 r. W momencie wkroczenia Niemców do Lwowa mieszkało w nim około 150 tys. Żydów, końca wojny doczekało może kilkuset.

Przez cały czas we Lwowie brakowało żywności, a bywały okresy prawdziwego głodu. Ojciec zupełnie poważnie zarzekał się, że po wojnie (o ile ją przeżyje) wytopi sobie wielki gar smalcu z cebulką i będzie go jadł łyżkami, bez chleba. Nawet jak były pieniądze to nic za nie, nie można było kupić. Dlatego ojciec wędrował po wsiach i próbował kupić jakiś prowiant, ale najczęściej wracał z pustymi rękami. Kiedyś mama dała mu jakieś uszyte przez siebie sukienki i dziecięce ubranka z których mały Jerzyk już wyrósł. Sukienki wróciły do domu, natomiast dziecięce ubranka zostały dosłownie rozchwyte przez wiejskie kobiety i wymienione na żywność. Ubranka były szyte własnoręcznie przez matkę, która w ich atrakcyjność wkładała wszystkie swoje umiejętności. Teraz mama zbierała w rodzinie resztki i jakieś ścinki materiałów i szyla dziewczęce sukieneczki, bogato je zdobiąc kokardkami, aplikacjami itp., a ojciec wymieniał je na wsi proste produkty spożywcze. Nie trwało to długo. Ze wschodu nadciągał front. Jednocześnie uaktywniły się na prowincji bandy UPA, paląc i mordując całe wsie. Lwów zapełnił się uciekinierami i mieszkańcy, w tym rodzice doświadczyli następnej fali głodu. Potem front dotarł do miasta i po raz drugi Lwów dostał się pod okupację sowiecką. Po pewnym czasie ojciec spenetrował najbliższe wsie i kiedy wracał z pustymi rękami, postanowił wyjechać dalej od Lwowa. Ta wyprawa miała niestety bardzo

poważne konsekwencje. Ojciec przedostał się kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Lwowa i zaraz został zatrzymany przez NKWD. Pierwsze słowa jakie usłyszał, to to, że jest szpiegiem. W czasie wojny był to zarzut za który groziła śmierć bez żadnego wyroku. Niemal w każdym przypadku Rosjanie mścili się też na rodzinach, którym w najlepszym przypadku groziła wywózka na Sybir. Chcąc chronić rodzinę, ojciec podał nieprawdziwe nazwisko i lwowski adres budynku, który się spalił, a jego lokatorzy gdzieś się rozproszyli. Siedział przez kilka dni w jakiejś prowizorycznej celi do której codziennie doprowadzano do której codziennie wpychano po kilku takich samych jak on „szpiegów”. Po jakimś czasie, gdy zebrano już kilkanaście osób, oznajmiono im, że zostaną przetransportowani do Lwowa, a później wcieleni do tworzącej się właśnie II Armii WP. Wśród więźniów panowała opinia, że tak naprawdę, nawet jak wrócą do Lwowa, to i tak nikt ich nie zwolni, a mówienie o wcieleniu do wojska jest zwykłym kłamstwem. W przypadku ojca, w każdym razie jego personalia podlegały by weryfikacji i ujawnieniu, że podał fałszywe dane, a to oznaczało tylko wyrok śmierci. Jedynym rozwiązaniem pozostawała ucieczka. Więźniów załadowano do towarowego wagonu i zamknięto, w budce hamulcowej usiadł żołnierz z karabinem i podczepieni pod jakiś skład, ruszyli. Rozpoczęła się dyskusja o ewentualnej ucieczce. Grupa się podzieliła. Część nie chciała uciekać wiedząc, że Rosjanie znając ich personalia i adresy będą mścić się na rodzinach. W końcu ustalono wspólny plan działania. Udało się naruszyć i wyrwać kilka desek z podłogi wagonu. Ci co nie chcieli uciekać, pozwolili się związać i zakneblować. Pozostali, podczas jednego z licznych postojów, wydostali się z wagonu i pod osłoną nocy, każdy oddzielnie kontynuował ucieczkę. Ojciec po trzech nocach marszu bezdrożami, dotarł do Lwowa i od tej chwili przez ponad rok ukrywał się. Było to konieczne, tym bardziej, że Rosjanie bardzo nasilili represje.

Do Lwowa dotarły echa konferencji jałtańskiej i związanej z nią możliwości repatriacji do Polski. Początkowo lwowiacy nie chcieli wyjeżdżać ze swojego miasta, natomiast rodzice ze zrozumiałych względów, czekali na taką możliwość jak mało kto. W ostatnim okresie regularnie jak w zegarku, nawiedzał mieszkanie rosyjski milicjant, który według tego samego schematu, pytał matkę o narodowość, gdy usłyszał, że polska, stwierdzał, że tu już jest Ukraina i pytał co tu robią jeszcze Polacy. Ojcu groziła dekonspiracja i podjęto decyzję o wyjeździe. Mama załatwiała wszystkie formalności, a ojciec zbił skrzynię do której zapakowali osobiste rzeczy. Jedyną cenną rzeczą jaka im została, była maszyna do szycia produkcji radzieckiej. Ta przypuszczalnie zostałaby zarekwirowana przy wyjeździe i mama zaszyła ją w pierzynie. Główna maszyna przyjechała do Polski i służyła jeszcze przez prawie 40 lat. W wyznaczonym dniu rodzina pomogła mamie dostarczyć bagaż na stację.

Ojciec obserwował z ukrycia te przygotowania i zgłosił się do pociągu w ostatnim możliwym momencie. Odetchnął dopiero, gdy wjechali do Polski. Jechali stłoczeni w bydłym wagonie. Mama była (ze mną) w czwartym miesiącu ciąży. Pociąg włókł się niemiłosiernie, ciągle stawał, przepuszczając jadące z Górnego Śląska pociągi z węglem i powracające puste węglarki. Po dziesięciu dniach stanęli w punkcie repatriacyjnym gdzieś koło Bytomia. Rodzice wyszli do miasta i pierwszy rekonesans wypadł negatywnie. Na ulicach słychać było głównie język niemiecki i gwarę śląską. Kiedy wezwano ich do PUR-u (Powiatowy Urząd Repatriacyjny), mama stanowczo odmówiła zamieszkania na Śląsku.

- Tu wszędzie są Niemcy, a myśmy się od nich dosyć nacierpieli. Nie mam zamiaru wychowywać dzieci wśród Niemców.

W tym momencie PUR miał jeszcze tylko jedną ofertę, a mianowicie Wrocław. Napotkali kolejarzy, którzy prowadzili pociągi do tego miasta, nie pozostawiali złudzeń. Był początek czerwca, zaledwie miesiąc po kapitulacji Festung Breslau. Miasto jest kompletnie zrujnowane, w gruzach ukrywają się niemieccy żołnierze, po nocach wybuchają pożary, w większej części miasta brak wody, prądu, gazu, po nocach rabują bandyci, również rosyjscy żołnierze. Nawet jeżeli trochę koloryzowali, to i tak sytuacja w mieście na pewno nie była łatwa. Szczególnie, będąca w ciąży matka, doświadczona przez okupację niemiecką i dwie sowieckie, potrzebowała spokoju i normalności. Ojcu udało się w końcu załatwić, że ich wagon podczepiono do składu jadącego na Pomorze. I tak po 28 dniach po opuszczeniu Lwowa rodzice znaleźli się w Pucku.

Podobnie wyglądał los pozostałych krewnych. Mniej więcej w przeciągu roku wszyscy wyjechali ze Lwowa w podobnych warunkach i rozproszyli się po całej Polsce. Ze strony ojca rodzeństwo: Stanisława Tardowska z mężem i trojgiem dzieci osiedlili się w Bydgoszczy, Wanda Sabaj z mężem i dwojgiem dzieci w Bytomiu, Karolina Krawiec z mężem i trojgiem dzieci w Opolu, natomiast w Dąbrowicy koło Jeleniej Góry osiedlili się brat Edward z żoną i dzieckiem, Maria Stafirny wdowa z córką, Janina Czajkowska wdowa z trojgiem dzieci i samotna Józefa Niedziewicz. Z którąś z rodzin przyjechała do Polski również moja babcia Józefa Niedziewicz. Tak samo wyglądała sytuacja z rodzeństwem mamy. Najstarsza siostra Józefa Nazimek z mężem i synem zamieszkali w Łąncucie, brat Piotr Jurczyszyn z żoną i dwojgiem dzieci w Darłowie, a najmłodszy Edward uciekł ze Lwowa za wycofującymi się Niemcami i odnalazł się dopiero po wojnie pod Monachium.

W Gdyni ojciec przedłożył jakieś dokumenty świadczące, że jego babcia posiadała gospodarstwo rolne pod Lwowem i na tej podstawie otrzymał podobne w Pucku. Rodzice pokwitowali w PUR odbiór budynków, jednego konia, krowy, bryczki, domowych sprzętów i

zaczęli gospodarować. Władze przydzieliły rodzicom do pomocy autochtona, wcześniej właściciela sąsiedniego gospodarstwa, który oczekiwał na repatriację do Niemiec. Był to porządny i pracowity człowiek i rodzice bardzo się z nim zżyli. Przy okazji nauczyli się gospodarować i całkiem nieźle dawali sobie radę z niewielką, kilkuhektarową gospodarką. W nowym, obcym miejscu zawiązali przyjaźnie, a ojciec mając sporo wolnego czasu podjął się obowiązków skarbnika utworzonej spółdzielni gminnej. Z czasem jednak obydwójce zaczęli tęsknić za wielkomijskim środowiskiem. W 1948 r. spółdzielnia, w której ojciec pracował, wysłała go na delegację, do załatwienia spraw na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. Z jednej strony morze ruin, a z drugiej widoczna gołym okiem odbudowa. Na każdym kroku napotykał przy tym miłą sercu lwowską gwarę. Stał na otwartym pomoście tramwajowym (gdzie można było wtedy palić papierosy) i jechał w kierunku Hali Ludowej. W pewnym momencie, kiedy tramwaj stał na przystanku, ojciec usłyszał charakterystyczne dźwięki obróbki kamienia. Wskoczył z tramwaju i poszedł w tym kierunku. Był to remontowany budynek ówczesnej Wojewódzkiej Rady Narodowej, a dzisiaj Urzędu Wojewódzkiego. Przed budynkiem, za byle jak skleconym parkanikiem, pracowało kilku kamieniarzy. Jeszcze przed chwilą ojcu nie przyszło by na myśl, że może tu spotkać serdecznych kolegów ze Lwowa. Powitaniom i uściskom nie było końca. Od razu też zaczęły się pytania, a kiedy okazało się, że ojciec nie pracuje w swoim zawodzie, namawianie na przyjazd do Wrocławia. W końcu postanowiono, że ojciec załatwi swoje sprawy, koledzy ogarną się i spotkają się vis a vis budowy w restauracji „Pod Żółtą Kaczką”. Tam istotnie spotkali się, zakąsili śledzikiem, a kiedy ojciec chciał zamówić obiad nie pozwolili mu na to. Nie mówiąc mu dokąd idą, poprowadzili go na ul. Szewską. Weszli do lokalu i ojciec zaniemówił. Koło drzwi stała kasa, a przy niej legendarny Fonio, u którego ojciec często stołował się we Lwowie. Lokal był tak samo urządzony, menu podobne, a potrawy równie smaczne. Ponieważ u Pana Alfonsa nigdy nie było alkoholu, po sytym obiedzie zmienili lokal i przy różnych wspominkach przekonywali ojca za przeprowadzką do Wrocławia. Bez potrzeby, gdyż ten już czuł, że z całą rodziną osiadzie w tym mieście.

Ojciec wrócił do Pucka i zaczęły się przygotowania do przekazania gospodarki. Potrzebne było całe mnóstwo dokumentów i zaświadczeń, np. zaświadczenie stwierdzające, że wszyscy członkowie rodziny posiadają obywatelstwo polskie. Jesienią 1948 r. byliśmy już we Wrocławiu. Cała rodzina z dobytkiem spoczęła w piwnicy przy alei Słowackiego i rozpoczęło poszukiwanie mieszkania, o które w centrum nie było już w tym czasie tak łatwo. W końcu rodzice dali komuś odstępną za lokal przy ówczesnej ul. Świerczewskiego 38/7. Były to dwa pokoje przedzielone nyżą w której urządzono kuchnię. Wprowadzenie się tam

było możliwe dopiero po podmurowaniu rozbitego pociskiem artyleryjskim, otworu okiennego. Wspólne, przedpokój i łazienkę dzielono z mieszkającymi w sąsiednim pokoju z kuchnią państwem Przybyłów, w innym mieszkała samotna pani Lusja, a w następnym przedwojenny jeszcze lokator tego mieszkania, volksdeutsch pochodzenia rumuńskiego, który czekał na wyjazd z Polski. Ten przychodził do ojca mówiąc, że zna miejsce gdzie właściciele lombardu zamurowali w piwnicy zgromadzone przez siebie walory. Budynek jest kompletnie zburzony więc dotarcie do piwnic nie jest teraz możliwe. Rumun chciał zapewnienia, że gdy kiedyś wróci do Wrocławia, to ojciec pomoże mu odzyskać skarb. Ojciec natomiast po cichu śmiał się z tych rewelacji, gdyż w tym czasie we Wrocławiu prawie każdy znał tego rodzaju tajemnice. Dotyczyły one podziemnych fabryk i szpitali, ukrytych skarbów, tuneli prowadzących z Rynku za autostradę, wielopiętrowych piwnic etc. Niedługo po wyjeździe Rumuna ojca oddelegowano do budowy trasy WZ w Warszawie, a mama wynajęła malarza do odświeżenia ścian. Malarz przyszedł i wziął się do pracy a mama poszła na zakupy. Po powrocie okazało się, że fachowiec zabrał się za rozbiórkę pieca twierdząc, że na pewno jest w nim ukryty skarb. Piec był wspaniały, wysoki na 4 m, wykonany z ozdobnych kafli i nic dziwnego, że matka wpadła w szal. Malarz został zamknięty w pokoju na klucz i wypuszczony z niego dopiero po naprawie wszystkich szkód.

W każdym bądź razie, Wrocław był ostatnim etapem przymusowej tułaczki. Ojciec, w zniszczonym mieście, miał pod dostatkiem pracy w ulubionym zawodzie. Robił elewacje na gmachu Politechniki przy placu Grunwaldzkim, kamieniarkę w budynku Teatru Lalek, banku na pl. Wolności, w Arsenale, hotelu Monopol. Na delegacjach pracował m.in. przy trasie WZ w Warszawie, w Głogowie, przy remoncie ratusza w Lwówku Śląskim. Pracował również w licznych kościołach. Odbudowywał katedrę, kościół Na Piasku, kościół św. Michała, św. Marii Magdaleny. Ogromną satysfakcję dało mu wykonanie rozet okiennych na południowej ścianie kościoła Bożego Ciała, gdzie prace zlecił mu powszechnie znany i szanowany ks. Smutek. Po przygodach wojennych i ciągłym zagrożeniu, Wrocław stwarzał warunki na normalne życie. Trochę mącił je smutek za ukochanym Lwowem i poczucie krzywdy ludzi wypędzonych z rodzinnych stron.

Więcej o rodzinach lwowskich: www.niedziewicz.pop.e-wro.pl